– Napisał pan w swoich papierach, że zna pan niemiecki. Prawda to? – zapytał mnie szef któregoś dnia.

– Uczyłem się w szkole, ale już dawno nie miałem z nim kontaktu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Ale dogadać się pan może? – drążył szef.

– Mogę – odpowiedziałem trochę na wyrost.

– No to pojedzie pan do RFN na szkolenie – zakończył.

Stało się! Pojadę do RFN! Pojadę do tych lepszych, do tych Richtig Fajnych Niemiec!

Fabryka, w której pracowałem modernizowała się szybko, bo jej produkty były bardzo potrzebne ludowej ojczyźnie. Budowano nowe hale i kupowano nowe maszyny. Nie wiedzieć dlaczego większość maszyn kupowano właśnie w RFN.

Służbowe wyjazdy na Zachód były w tamtych czasach gratką nie do pogardzenia, bo można było wiele nowego zobaczyć, coś ciekawego kupić lub... uciec z komunistycznej Polski. Dlatego wszyscy o nie zabiegali.

W sprawie zakupów nowych maszyn jeździli zawsze dyrektorzy, sekretarze partii i kierownicy różnych maści. Pojono ich tam, karmiono, pokazywano pornograficzne filmy i obsypywano prezentami, a oni w zamian podpisywali stosowne umowy i protokoły. Potem te maszyny przychodziły do Polski i wtedy zaczynały się schody.

Polska lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych była odcięta żelazną kurtyną od zachodnich technologii i takich maszyn nikt u nas obsługiwać ani naprawiać nie umiał. Potrzebne więc były szkolenia, na które musieli jechać ludzie mający jakie takie pojecie o technice, a nie dyrektorzy.

Takim to sposobem uśmiechnął się los i do mnie. Musiałem jeszcze tylko wypełnić stos formularzy, przejść z wynikiem pozytywnym przesłuchanie przez funkcjonariusza służby bezpieczeństwa i w końcu dostałem jednorazowy paszport służbowy z niemiecka wizą, bilet lotniczy i po kilka marek na dzień.

Okazało się, że lecę razem z dwoma nieznanymi mi, nieznającymi języka niemieckiego mechanikami, a ja mam być ich opiekunem, tłumaczem i nadzorcą jednocześnie.

Pierwsze problemy pojawiły się już na Okęciu, bo nigdy jeszcze nie leciałem samolotem i nie wiedziałem, jak i gdzie się obrócić. Na pomoc kolegów nie mogłem liczyć, bo przestraszeni byli bardziej niż ja. Udało mi się w końcu nadać nasze bagaże do Stuttgartu przez Frankfurt i wystartowaliśmy.

We Frankfurcie od razu rozbolała mnie głowa, bo jeden tamtejszy terminal był większy niż całe Okęcie, a było tych terminali wiele. Patrząc uważnie na kierunkowe strzałki i uważając, by nie przewrócić się na ruchomych schodach i chodnikach, doprowadziłem szczęśliwie moje stadko do bramki odlotów do Stuttgartu.

Czasu do odlotu było jeszcze dużo, ale my grzecznie siedzieliśmy na ławeczce, pilnie bacząc, żeby nam samolot nie uciekł.

– Może by sprawdzić, czy nasze bagaże też polecą do Stuttgartu – zaproponował jeden z moich podopiecznych.

– Polecą, polecą – odpowiedziałem, chociaż sam nie byłem tego pewny.

– Tam mam wszystkie ciuchy i jedzenie – ciągnął nowy kolega. – Jak to przepadnie, to będzie źle.

Perspektywa chodzenia przez tydzień w jednej koszuli i życia tylko na hotelowych śniadaniach była niemiła i spowodowała u mnie powrót bólu głowy, który ustąpił już po znalezieniu bramki naszego odlotu. Może i dobrze byłoby to sprawdzić? Ale jak i gdzie?

Czas biegł, my siedzieliśmy na ławce, aż mój dręczyciel ponownie przemówił:

– Może by jednak sprawdzić te bagaże?

– Sam sobie sprawdzaj, bo ja wiem, że polecą razem z nami – odwarknąłem mimo wątpliwości.

– No, zobaczymy – odpowiedział kolega i popatrzył na mnie groźnie.

Najważniejszym zadaniem po wylądowaniu w Stuttgarcie stało się więc szybkie odzyskanie naszych bagaży. Staliśmy przy taśmociągu wypluwającym walizki, wypatrując naszych. Inni pasażerowie odnajdowali swoje, odchodzili i robiło się pusto. W końcu taśma zatrzymała się.

– No i co? – naskoczyli na mnie obydwaj koledzy. – Gdzie są nasze bagaże?

Opuściłem uszy po sobie i zacząłem wzrokiem szukać okienka, gdzie mógłbym uzyskać jakieś informacje. Koledzy krzyczeli na mnie, ja rozglądałem się bezradnie, a tymczasem taśmociąg ruszył i wyrzucił jeszcze kilka walizek - w tym i nasze.

Na lotnisku czekał na nas pracownik firmy w której miało być szkolenie i odwiózł nas do hotelu. Po drodze starał się być miły i zagadywał mnie o różne rzeczy. Ja nie rozumiałem prawie nic, bo według mnie on nie mówił po niemiecku, więc mój dyżurny ból głowy znowu się nasilił. Musiałem chyba mieć głupią minę, bo mój rozmówca odezwał się w końcu w języku podobnym do znanego mi ze szkoły.

– O! Przepraszam! Powinienem mówić w Hochdeutsch, bo pan pewnie nie rozumie naszego dialektu. My tu mówimy po szwabsku – powiedział.

– Dziękuję. Tak będzie lepiej – odpowiedziałem, bo w końcu zrozumiałem cośkolwiek.

Nasz mały hotelik zdał mi się być ósmym cudem świata. Był czysty, jasny i pachnący jak panna młoda na ślubie. Wchodząc do łazienki, pamiętałem ostrzeżenia kolegów, którzy na podobnych wyjazdach niejedną już przygodę w łazience przeżyli. Pamiętałem, żeby ostrożnie manipulować kranami i nie oblać się nagle gorącą wodą i żeby nie wycierać się tym najgrubszym ręcznikiem, tylko podkładać go pod nogi przy wannie. Moja łazienka przyjęła mnie łaskawie i odświeżony zszedłem o umówionej porze do hotelowej restauracji.

Nie poszedłbym tam nigdy, bo przecież moje zasoby finansowe wystarczyłyby pewnie tylko na pół kolacji, ale nasz niemiecki opiekun wyraźnie powiedział, że firma nas zaprasza.

Restauracja też była czysta i pachnąca, a wygląd, smak i wielkość porcji jedzenia przechodziły wszelkie pojęcie. Do tego jeszcze to piwo! Zimne, ze sztywną pianką, w niczym nie przypominało pijanych dotąd ciepłych kwasów rodzimej produkcji.

Zaraz po kolacji poszedłem do łóżka. Na szczęście nie zaskoczyło mnie ono żadną techniczną nowinką. Mogłem więc spać bez obawy, że w środku nocy zostanę nagle wymasowany lub polany dezodorantem.

Moi koledzy nie byli tak grzeczni i wieczorem poszli jeszcze pospacerować po mieście. Ze spaceru przynieśli wiadomość, że naprzeciw hotelu jest sklep, w którym o dziewiątej wieczorem jest wciąż pełno mięsa. Poszliśmy tam nazajutrz po śniadaniu i moim oczom ukazał się widok witryny zawalonej schabami, szynkami, kiełbasami i innymi wyrobami. Dla człowieka oglądającego na co dzień puste haki lub pokryte fioletowymi stemplami pożółkłe ochłapy kościstej wołowiny był to widok jak z bajki. Sklep był jeszcze zamknięty, więc nie mogliśmy sprawdzić, czy nie są to atrapy. Sprawdziliśmy to zaraz po południu i okazało się, że wszystko to było prawdziwe i że w sklepie nie śmierdziało.

Kolejnym szokiem był wygląd firmy. W halach naszej fabryki było głośno, brudno i trzeba było uważać, żeby się nie pośliznąć lub nie wbić sobie w nogę metalowego wióra. Tu maszyny pracowały ciszej, betonowa posadzka była sucha i bez wiórów, a robotnicy ubrani byli w czyste ubrania robocze.

Szkolono nas, zakładając, że znamy już podobne maszyny. My ich nie znaliśmy i nawet nie wiedzieliśmy, czego o nich nie wiemy. Słuchaliśmy więc pilnie, robiliśmy notatki i kserowaliśmy każdą kartkę, jaka wpadła nam w ręce. To nam musiało wystarczyć, a nabytą tu wiedzę miała zweryfikować przyszłość.

Firma była tak miła, że zafundowała nam obiady w swojej stołówce i pozwoliła jeść w hotelu kolacje na jej koszt. Było dobrze! Bardzo dobrze! Nasze skromne diety mogliśmy przeznaczyć na zakupy, a przywiezione z Polski konserwy czekały spokojnie na powrót.

– Ciekawe, co powiedzą celnicy na Okęciu, gdy zobaczą, że wieziemy z RFN polskie konserwy – zagadnąłem któregoś dnia kolegów. – Może każą nam je oclić?

– To wyrzucimy je do kosza – uspokoili mnie.

Uspokojeni co do naszej siły nabywczej całe popołudnia spędzaliśmy na chodzeniu po sklepach. Każdy z nas miał zlecenia na zakupy przerastające nasze możliwości finansowe, więc trzeba było znaleźć najtańsze sklepy.

Supermarkety Quelle czy Kaufhof znaliśmy tylko z opowiadań. Teraz oto mieliśmy je po ręką, ale były dla nas za drogie. Mimo to łaziliśmy po nich godzinami, oglądając bez sensu i potrzeby wszystko, żeby przynajmniej nacieszyć oczy wszelkim dobrem w nich dostępnym.

– Wymyśliłem torturę dla mojej teściowej – powiedział jeden z kolegów zaraz pierwszego dnia. – Dałbym jej dwadzieścia marek i wpuściłbym do tych sklepów. Szlag by ją trafił, bo te dwie dychy to za mało, żeby coś fajnego kupić.

Po upojnych popołudniach spędzanych w supermarketach wracaliśmy do hotelu i obserwowaliśmy

hotelowe życie.

Któregoś dnia zobaczyłem przy recepcji prawdziwego amerykańskiego żołnierza i do tego jeszcze Murzyna. Miał rozpięty prawie do pasa polowy mundur, podwinięte rękawy i czapkę pod pagonem. Na podłodze leżała wielka, mocno wypchana torba w ochronnych kolorach, a gdy ją podniósł, usłyszałem wyraźnie szczęk żelaza. Ten widok rozchełstanego Murzyna kłócił się z moim wyobrażeniem żołnierza ukształtowanym według polskich lub radzieckich wzorów.

– Co tu robią amerykańscy żołnierze? – zapytałem na drugi dzień w firmie.

– Mają tu koszary, bo tu stacjonuje dywizja Big Red One – usłyszałem w odpowiedzi.

Znałem tę nazwę, bo nasze dzienniki telewizyjne swojego czasu były pełne informacji o jej wyczynach podczas wojny wietnamskiej. Dowiedziałem się, gdzie są owe koszary i zaraz po południu poszedłem je obejrzeć. Moi koledzy nie poszli, bo się bali.

Koszary znalazłem bez problemu, bo były prawie w centrum miasta. Z bezpiecznej odległości obserwowałem bramę tego „gniazda zła", dziwiąc się, że wygląda mniej groźnie niż brama koszar WOP znana mi z dzieciństwa.

W bramie stało dwoje wartowników w wyglansowanych hełmach. Wysoki blondas i Murzynka rozmawiali wesoło, śmiali się i tę parę zachciało mi się sfotografować.

Fotografowanie mostów czy dworców kolejowych było wtedy w Polsce zabronione, a fotografowanie obiektów wojskowych traktowano jak szpiegostwo. Gdyby jakiś obcokrajowiec zrobił zdjęcie polskich koszar, to nie wyszedłby z więzienia przez wiele lat, a tu mnie – obywatelowi ze Wschodu – zachciało się fotografować koszary wrogiej armii.

Patrzyłem na tych rozbawionych wartowników i postanowiłem jednak zaryzykować. Podszedłem i zapytałem, czy mogę ich sfotografować.

– Jasne! – odpowiedział blondyn i objął ramieniem zaskoczoną koleżankę.

Pstryknąłem dwa zdjęcia, podziękowałem i prędko odszedłem. Bałem się, że wartownicy rozmyślą się i rzucą się za mną w pogoń. Nie gonili mnie, a ja miałem zdjęcia amerykańskich żołnierzy w pełnym rynsztunku i bramy koszar Big Red One.

W drodze do hotelu myślałem, co powiedziałby porucznik służby bezpieczeństwa, który przesłuchiwał mnie przed wyjazdem, gdybym mu je pokazał. Nie pokażę mu ich i nie powiem, że te koszary widziałem, chyba, że... koledzy na mnie doniosą. W tamtej chwili zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd. Przecież po powrocie do kraju każdy z nas osobno zostanie wezwany na przesłuchanie i będzie musiał opowiedzieć, co robił on i koledzy. Co będzie, gdy któryś z nich wypapla, że chodziłem oglądać amerykańskie koszary?

– No i jak? Widziałeś te koszary – zapytali mnie koledzy przy kolacji.

– Nie. Nie znalazłem ich – odpowiedziałem.

– E! Nie warto było marnować czasu – usłyszałem. – My znaleźliśmy sklep z tanimi magnetofonami ka-

setowymi. Pójdziemy tam jutro razem, to pomożesz nam je kupić. Dobrze?

– Dobrze – zgodziłem się zadowolony ze zmiany tematu rozmowy. – Ja też sobie taki kupię – dodałem.

Nasze szkolenie było dwutygodniowe, więc czekał nas weekend za granicą. Co mogliśmy zrobić z tymi dwoma wolnymi dniami? Nie pojechalibyśmy nigdzie, bo szkoda nam było pieniędzy, a poza tym i tak nie wiedzielibyśmy dokąd. W sobotę pochodzilibyśmy znowu po sklepach, a niedzielę pewnie przespalibyśmy.

Nasz niemiecki opiekun zaskoczył nas jednak mile i na niedzielę zabrał w Alpy. Wycieczkę zaczęliśmy od Oberstdorfu i skoczni narciarskiej Schattenbergschanze, którą znaliśmy z telewizyjnych transmisji Konkursów Czterech Skoczni.

– Do Garmisch-Partenkirchen pojedziemy przez Austrię, bo tak jest bliżej – powiedział nasz opiekun.

– Ale my nie mamy austriackich wiz i nie możemy tamtędy jechać – zaprotestowałem.

– Jedziemy niemieckim autem, więc Austriacy nie będą nas kontrolować – odpowiedział.

– A jak nas jednak zatrzymają – drążyłem.

– To zawrócimy – odpowiedział wyraźnie zdziwiony moimi obawami.

Wciśnięci w fotele auta, w poczuciu, że mniej nas widać, pozwoliliśmy się wieść ku austriackiej granicy. Kontroli granicznej nie było, a tylko inne kolory drogowskazów i pasów na szosie poinformowały nas, że to już jest Austria. Na przejściu przed Garmisch-Partenkirchen zatrzymał nas jednak niemiecki policjant. Obejrzał nasze paszporty i nie zauważył, czy nie chciał zauważyć, że nasze wizy pozwalają nam tylko na jeden wjazd do Niemiec i że ten jeden wjazd był już we Frankfurcie. Po zwiedzeniu Stadionu Olimpijskiego i skoczni Große Olympiaschanze wieczorem wróciliśmy do naszego hotelu.

– O tej wycieczce do Austrii to chyba nie możemy gadać w Polsce – zapytał jeden z kolegów przy kolacji.

– Raczej nie – potwierdziłem. – W życiu nie wytłumaczymy się, po co tam pojechaliśmy.

Szkolenie trwało nadal. Kupiliśmy już magnetofony i prezenty, ale wciąż nie zrealizowaliśmy jeszcze jednego, obowiązkowego punktu programu pobytu na „zgniłym" Zachodzie - nie obejrzeliśmy filmu porno.

Termin powrotu do kraju zbliżał się nieubłaganie, a my wciąż byliśmy bez porno, bo nie umieliśmy znaleźć odpowiedniego kina. Co powiemy kolegom i znajomym w kraju? Wyśmieją nas jak nic!

– Zapytaj Niemców, gdzie jest kino porno, albo poproś, żeby nas do niego zawieźli – przycisnęli mnie koledzy na dwa dni przed odlotem.

Mimo że jeszcze nigdy takiego filmu nie widziałem i chętnie bym go obejrzał, to wstydziłem się prosić Niemców o pomoc. Nie zapytałem w tym dniu, a następnego dnia była już pożegnalna kolacja i tak zostaliśmy bez porno.

– No i nie widzieliśmy porno – usłyszałem zarzut w dniu wyjazdu. – Wstyd jak cholera!

Zmilczałem, chociaż sam tego żałowałem.

Czekając w Frankfurcie na lot do Warszawy moi koledzy nie martwili się już, czy nasze bagaże polecą z nami, ale o to czy na lotnisku można obejrzeć film porno. Kazali mi pilnować podręcznych bagaży, a sami poszli na poszukiwania. Szukali i znaleźli w końcu porno-shop, w którym za drobne pieniądze można było taki film obejrzeć. Obejrzeli dwa i zadowoleni, z wypiekami na twarzach, wrócili.

– Teraz ty idź – zaproponowali.

– E! Nie pójdę. Nie mam ochoty – odpowiedziałem wbrew sobie.

Popatrzyli na mnie dziwnie, usiedli nieco z boku i zaczęli wesoło komentować co pikantniejsze sceny z obejrzanych przed chwilą filmów.

Celnik na Okęciu przejrzał dokładnie mój bagaż i znalazł w nim zapas polskich konserw.

– Co? Nie były potrzebne? Karmili? – zapytał z przekąsem. – A film porno pokazali? – dodał.

– Karmili i film pokazali – odpowiedziałem, uważając, by koledzy nie usłyszeli mojego kłamstwa.

Kilka dni po powrocie do domu wziął mnie na spytki „anioł stróż" ze służby bezpieczeństwa. Po typowych pytaniach o cel i przebieg wyjazdu, zagadnął konfidencjonalnie:

– No jak? Podobało się panu w RFN? Byliście gdzieś jeszcze? Jeździliście gdzieś?

– Nie było na to czasu – odpowiedziałem. – Byliśmy w firmie cały dzień, a po południu chodziliśmy po sklepach.

– I co pan sobie kupił? – dopytywał się.

– Magnetofon kasetowy – odpowiedziałem zgodnie z prawdą..

– Taki za sto dziesięć marek? – powiedział z miną człowieka wszystkowiedzącego.

– Tak – potwierdziłem zaskoczony.

– A na filmie porno byliście? – kontynuował.

– Byliśmy – skłamałem.

– No! To wyjazd był udany. Dziękuję i do zobaczenia – zakończył.

Wychodząc z jego gabinetu, zastanawiałem się, co naopowiadali mu moi koledzy, na ile mi uwierzył i czy jeszcze kiedykolwiek wyjadę za granicę.

Nic złego się jednak nie stało. Do RFN pojechałem ponownie za kilka miesięcy, ale tym razem zadbałem już, żeby film porno obejrzeć.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 22.12.2021 20:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.